ROZDZIAŁ 1

Nie przyjechałam tu po miłość

Dzień pierwszy

Pierwszego wieczoru we Włoszech zajęłam stolik obcego mężczyzny. Zanim do tego doszło, odebrałam telefon, którego nie powinnam była odbierać.

– Nina, potrzebuję tylko pięciu minut.

Robert zadzwonił dokładnie w chwili, kiedy próbowałam wciągnąć walizkę po ostatnich schodach.

– Jestem na urlopie.

– Wiem.

– To dobrze, że przynajmniej jedno z nas pamięta.

– Mamy mały problem z prezentacją dla zarządu.

Zatrzymałam się przed drzwiami apartamentu.

– Robert, kiedy ostatnio mieliśmy mały problem?

– Nie zaczynaj.

– Właśnie zaczynam urlop. To zupełnie co innego.

Przez chwilę słyszałam tylko jego oddech.

– Kasia z twojego zespołu ma wszystkie materiały – powiedział. – Ale zarząd przyzwyczaił się, że to ty przedstawiasz wyniki.

– W takim razie najwyższy czas, żeby Kasia dostała swoją szansę.

– Wiem, tylko…

– Nie, Robert. Nie ma żadnego „tylko”. Przygotowywałyśmy tę prezentację razem. Ona zna dane równie dobrze jak ja.

– Masz rację.

– Oczywiście, że mam.

Roześmiał się krótko.

– Dobrze. Poradzimy sobie.

– Właśnie na to liczę.

Rozłączyłam się, zanim zdążył przypomnieć sobie jeszcze jedną pilną sprawę. Przez siedem lat zarządzałam zespołami odpowiedzialnymi za kilka europejskich rynków. Potrafiłam negocjować wielomilionowe kontrakty, rozwiązywać konflikty i przekonywać ludzi do decyzji, których początkowo nie chcieli podejmować.

Trudniej było przekonać współpracowników, że urlop nie jest odmianą pracy zdalnej. Otworzyłam drzwi. Apartament wyglądał lepiej niż na zdjęciach. Jasne ściany, drewniane belki pod sufitem, nieduża kuchnia i szerokie drzwi prowadzące na taras. Za sąsiednimi dachami widać było fragment morza.

Postawiłam walizkę przy kanapie. Z ulicy dobiegały głosy kobiet rozmawiających przez otwarte okna. Ktoś przesuwał krzesła, gdzieś szczekał pies, a z pobliskiej restauracji unosił się zapach czosnku i smażonych pomidorów. Monopoli nie próbowało udawać miejsca stworzonego specjalnie dla turystów. Ludzie po prostu tutaj mieszkali. I podobało mi się to.

Telefon zawibrował ponownie. Na ekranie pojawiła się wiadomość ze służbowej poczty. „Regional Director – dalsze ustalenia”. Patrzyłam na temat. Domyślałam się, czego dotyczy.

Od kilku tygodni prowadzono rozmowy o moim kolejnym awansie. Większa odpowiedzialność, nowe rynki, jeszcze więcej podróży. Jeszcze rok wcześniej otworzyłabym wiadomość natychmiast. Teraz odłożyłam telefon na stół. Awans mógł poczekać do jutra. A najlepiej do końca urlopu.

Po prysznicu założyłam lekką kremową sukienkę i stanęłam przed lustrem. Wyglądałam dobrze. Tylko oczy zdradzały zmęczenie. Trzydzieści siedem lat.

Miałam dobrą pracę, własne mieszkanie i dość oszczędności, żeby spędzić miesiąc we Włoszech. W szafie wisiało kilka sukienek, których od dawna nie miałam gdzie założyć. Jedną z nich wreszcie przywiozłam.

– Nie jest źle – powiedziałam do swojego odbicia.

Nie odpowiedziało. To była pierwsza od dawna rozmowa, podczas której nikt nie próbował przekonać mnie do zmiany decyzji. Uśmiechnęłam się. Wzięłam torebkę i wyszłam. Nie miałam planu na wieczór.

Poza jednym. Chciałam zjeść coś naprawdę dobrego. Stare miasto okazało się labiryntem wąskich uliczek, jasnych kamienic i niewielkich placów. Spacerowałam bez pośpiechu. Mijałam kobiety siedzące przed domami, dzieci grające w piłkę i starszych mężczyzn, którzy najwyraźniej od wielu lat spotykali się codziennie przy tych samych stolikach.

Co jakiś czas zatrzymywałam się, żeby zrobić zdjęcie. Białe schody prowadzące donikąd. Niebieskie drzwi z odpryskującą farbą. Kot śpiący na parapecie obok doniczki z bazylią. W pewnym momencie skręciłam w uliczkę, która wydawała mi się znajoma.

Po kilku minutach odkryłam, że idę w przeciwnym kierunku. Nie zawróciłam od razu. Zamiast tego poszłam dalej, aż dotarłam na mały plac niedaleko portu. Właśnie tam zobaczyłam restaurację. Kilka stolików ustawiono pod jasnym płóciennym zadaszeniem. Kelnerka niosła dwa kieliszki wina, a przy jednym ze stolików starsza para dzieliła się talerzem makaronu.

Pachniało pomidorami, oliwą i świeżo pieczonym pieczywem. To wystarczyło. Kelnerka powitała mnie po włosku. Odpowiedziałam nieporadnym buonasera, po czym przeszłyśmy na angielski. Zapytała, czy jestem sama.

Potwierdziłam. Wskazała mi wolny stolik przy murku. Usiadłam. Zamówiłam wodę, kieliszek białego wina i makaron z owocami morza. Dopiero rozłożyłam serwetkę, kiedy usłyszałam za sobą męski głos.

– Excuse me. I think you're sitting at my table.

Podniosłam głowę. Przede mną stał mężczyzna w jasnej lnianej koszuli z podwiniętymi rękawami. Na ramieniu miał aparat fotograficzny, a ciemne włosy sprawiały wrażenie, jakby przed

chwilą przeczesał je dłonią. Był wysoki. Szczupły, ale dobrze zbudowany. Miał kilkudniowy zarost i oczy, które od razu przyciągały uwagę. Nie dlatego, że były szczególnie piękne.

Raczej dlatego, że przyglądał mi się z zainteresowaniem, nie próbując ukryć lekkiego rozbawienia.

– I'm sorry, but the waitress showed me this table – odpowiedziałam.

– I know. Apparently there's been a misunderstanding.

Spojrzałam na stojący przede mną kieliszek.

– Well, I've already ordered.

– I can see that.

– And I'm very hungry.

Uśmiechnął się.

– That's a serious argument.

– One of my strongest.

Rozejrzałam się za kelnerką. Akurat zniknęła w środku. Westchnęłam.

– No pięknie. Nawet tutaj muszę rozwiązywać cudze problemy.

– Jeśli to pocieszenie, ten wygląda na dość niewielki – odpowiedział mężczyzna po polsku.

Znieruchomiałam.

– Słucham?

Uśmiechnął się szerzej.

– Powiedziałem, że chyba sobie poradzimy.

– Pan mówi po polsku?

– Od dziecka.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

– I nie mógł pan tego powiedzieć od razu?

– Nie wiedziałem, że pani również mówi po polsku.

– To dość rozsądne wyjaśnienie.

– Staram się.

Patrzyliśmy na siebie. Potem oboje się roześmialiśmy.

– Czyli jest pan Polakiem? – zapytałam.

– W połowie. Urodziłem się w Krakowie. Mama jest Polką, ojciec pochodzi stąd, z Apulii.

– Rozumiem.

– To dobrze, bo w dzieciństwie sam miałem z tym trochę problemów.

– Z czym?

– Z odpowiedzią na pytanie, skąd jestem. W Polsce byłem trochę Włochem, a tutaj zawsze trochę Polakiem.

– I co pan mówi teraz?

Wzruszył ramionami.

– Że zależy, kto pyta.

Roześmiałam się. Kelnerka wróciła wreszcie do naszego stolika. Mężczyzna zwrócił się do niej po włosku. Rozmawiali chwilę. Kelnerka wyglądała na zakłopotaną.

Potem spojrzała na mnie i zaczęła przepraszać po angielsku. Okazało się, że mój stolik był rzeczywiście zarezerwowany. Mężczyzna miał tutaj spotkać bohatera swojego reportażu. Ten jednak przed chwilą zadzwonił, żeby odwołać spotkanie. W rodzinie spodziewano się narodzin dziecka i sytuacja najwyraźniej wymagała jego obecności.

Kelnerka błędnie uznała, że rezerwacja jest już nieaktualna.

– Nie ma problemu – powiedział mężczyzna. – Wszystko się wyjaśniło.

– Stolik jest pani.

– Jak łaskawie.

– Chociaż właściwie mam propozycję.

Uniosłam brwi.

– Słucham.

– Skoro odzyskałem niespodziewanie cały wieczór, a pani wygląda na osobę, która potrafi prowadzić interesujące spory…

– To dość odważny wniosek po trzech minutach znajomości.

– Zgadza się. Dlatego chciałbym go sprawdzić.

Wskazał wolne krzesło.

– Mogę usiąść na chwilę?

Przez moment zastanawiałam się nad odpowiedzią. Nie miałam zwyczaju zapraszać obcych mężczyzn do swojego stolika. Nie byłam nieśmiała. Po prostu nie lubiłam sytuacji, w których ktoś uważał, że skoro kobieta siedzi sama, to z pewnością potrzebuje towarzystwa. Ale ten mężczyzna najwyraźniej rozumiał różnicę między zaproszeniem a narzucaniem się. Czekał.

Nie przysuwał krzesła. Nie zakładał, że się zgodzę.

– Kilka minut – powiedziałam.

– Doskonale.

Usiadł naprzeciwko.

– Aleks.

– Nina.

– Miło mi.

– Jeszcze nie wiem.

Roześmiał się tak szczerze, że sama się uśmiechnęłam. Aleks zamówił wodę i niewielką porcję oliwek. Nie zapytał od razu, czy przyjechałam sama, czym się zajmuję ani czy mam męża. Zamiast tego spojrzał na aparat leżący obok jego krzesła.

– Miałem dzisiaj fotografować człowieka, który od jedenastu lat przygotowuje dwa nakrycia do śniadania.

Przyjrzałam mu się.

– Dla kogo?

– Dla siebie i żony.

– To chyba nic niezwykłego.

– Jego żona nie żyje od jedenastu lat.

Odłożyłam kieliszek.

– Rozumiem.

– Jeszcze nie wiem, czy ja rozumiem.

Zamilkł na chwilę.

– Właśnie dlatego chciałem z nim porozmawiać.

Spojrzałam na aparat.

– Jesteś fotografem?

– Między innymi.

– Co to znaczy?

– Robię reportaże. Zdjęcia, czasami teksty. Najczęściej o ludziach, którzy prowadzą życie niezbyt interesujące dla wielkich mediów.

– Na przykład o mężczyźnie, który nakrywa stół dla nieżyjącej żony?

– Właśnie.

Zastanowiłam się.

– Może nie potrafi pogodzić się z jej śmiercią.

– Możliwe.

– Albo nie chce zmieniać przyzwyczajeń.

– Też możliwe.

– A może po prostu uważa, że skoro przez czterdzieści lat jadali razem śniadanie, nie ma powodu, żeby nagle przestał stawiać drugi talerz.

Aleks spojrzał na mnie uważniej.

– To ciekawe.

– Dlaczego?

– Bo pomyślałem o wszystkim oprócz tego.

– Zdarza się.

– Częściej, niż chciałbym przyznać.

Patrzył na starszą parę siedzącą przy sąsiednim stoliku. Mężczyzna właśnie podsuwał kobiecie koszyk z pieczywem.

– Wiesz, co najbardziej mnie interesuje? – zapytał Aleks.

– Co?

– Czy on naprawdę lubi te śniadania.

– Jak to?

– Może robi to z miłości. Może z przyzwyczajenia. A może każdego ranka ma ochotę wyrzucić ten drugi talerz, ale nie potrafi.

Przyjrzałam mu się uważniej.

– W takim razie nie powinieneś zakładać, że to romantyczna historia.

– Właśnie nie zakładam.

– Dlatego chcę zapytać.

Spodobała mi się ta odpowiedź. Nie opowiadał cudzej historii tak, jakby już znał jej znaczenie. Chciał się dowiedzieć. Pomyślałam, że może właśnie na tym polega różnica między kimś, kto patrzy, a kimś, kto naprawdę widzi. Nie powiedziałam tego na głos.

Byłoby trochę zbyt uroczyste jak na rozmowę przy oliwkach.

– A ty? – zapytał po chwili.

– Co ja?

– Jak znalazłaś się w Monopoli?

– Samolotem. Potem samochodem.

Aleks przyjął odpowiedź bez mrugnięcia.

– To znacznie upraszcza sprawę.

– Jestem na urlopie.

– Długo?

– Trzydzieści dni.

Uniósł brwi.

– Dokładnie?

– Dokładnie.

– Brzmi jak dobrze przemyślana decyzja.

– Bo taka była.

– Masz zaplanowany każdy dzień?

– Nie.

– To chyba dobrze.

– Mam tylko datę powrotu.

Aleks pokiwał głową.

– Rozumiem.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Trzydzieści dni to całkiem rozsądny sposób, żeby sprawdzić, czy można przez miesiąc żyć bez obowiązków.

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

– Zaczynam podejrzewać, że się ze mnie nabijasz.

– Odrobinę.

Spodziewałam się, że zaraz zacznie się tłumaczyć. Aleks po prostu się uśmiechał.

– A ty? – zapytałam. – Mieszkasz tutaj czy tylko przyjeżdżasz?

– Mieszkam na stałe od jedenastu lat.

– Długo.

– Wystarczająco, żeby mieć ulubioną piekarnię i znajomego mechanika. Zdecydowanie za krótko, żeby nauczyć się punktualności od miejscowych.

– To znaczy?

– Kiedy ktoś mówi, że będzie za pięć minut, zabieram ze sobą książkę.

Roześmiałam się.

– A wcześniej?

– Wcześniej przyjeżdżałem tutaj do rodziny ojca. Spędzałem w Apulii niemal każde wakacje.

– Czyli masz dwa domy?

Zastanowił się.

– Jeden tutaj. Drugi trochę we wspomnieniach.

Powiedział to lekko, lecz nie rozwinął myśli. Nie naciskałam. Kelner przyniósł mój makaron. Aleks spojrzał na talerz.

– Wygląda świetnie.

– Mam nadzieję.

– W takim razie nie będę przeszkadzał.

Sięgnął po aparat. Zaskoczyło mnie, jak szybko podjął decyzję.

– Już idziesz?

– Nie chciałbym patrzeć, jak jesz, podczas gdy mnie zostawiono z oliwkami.

– Mogłeś coś zamówić.

– Mogłem.

Spojrzał na mnie z rozbawieniem.

– Ale wtedy musiałbym przyznać, że zostałem tutaj dłużej, niż zamierzałem.

Nie odpowiedziałam od razu. Aleks wstał.

– Miłego pobytu, Nino.

– Dziękuję.

– I mam nadzieję, że makaron okaże się wart tego sporu o stolik.

– Powiem ci, jeśli nie.

Zatrzymał się.

– A jak zamierzasz mnie znaleźć?

Wzruszyłam ramionami.

– To już twój problem.

– Rzeczywiście.

Poprawił pasek aparatu i odszedł w stronę portu. Nie poprosił nawet o numer telefonu.

Patrzyłam za nim z lekkim niedowierzaniem. A potem spróbowałam makaronu. Był znakomity. Co wcale nie poprawiło mi humoru tak bardzo, jak powinno. Zjadłam powoli.

Nie chciałam wracać jeszcze do apartamentu. Wieczór był ciepły, na placu robiło się coraz tłoczniej, a przy sąsiednim stoliku starsza para właśnie zamawiała deser. Kobieta poprawiła mężczyźnie kołnierzyk koszuli. Zrobiła to bez zastanowienia, jakby powtarzała ten gest od kilkudziesięciu lat. On nawet nie przerwał rozmowy.

Pomyślałam o dwóch talerzach ustawianych każdego ranka. Nie byłam pewna, czy bardziej interesuje mnie rybak, czy człowiek, który zamierzał go fotografować.

Zapłaciłam rachunek i ruszyłam w stronę portu. Przy jednej z łodzi starszy mężczyzna układał sieci, a dwaj chłopcy siedzieli na murku, dzieląc się lodami.

I wtedy go zobaczyłam. Aleks stał kilkanaście metrów dalej. Rozmawiał ze starszym mężczyzną o siwych włosach. Obaj gestykulowali, a ich rozmowa najwyraźniej sprawiała im przyjemność. Mogłam przejść niezauważona. Naprawdę. Wystarczyło skręcić w stronę schodów. Zamiast tego podeszłam bliżej.

– Dobranoc, Aleks.

Odwrócił się natychmiast. Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie. Potem uśmiech.

– Dobranoc, Nino. Stolik spełnił oczekiwania?

– Był przeciętny.

– Przykro mi to słyszeć.

– Powinieneś złożyć reklamację.

– Koniecznie.

Starszy mężczyzna spojrzał na mnie z zainteresowaniem i powiedział coś po włosku. Aleks odpowiedział. Obaj się roześmiali.

– Co powiedział? – zapytałam.

– Że najwyraźniej znam tutaj więcej ludzi, niż mu się wydawało.

– A ty?

Aleks zawahał się.

– Że dzisiaj też trochę się zdziwiłem.

Spojrzałam na niego. Nie wyglądał na zakłopotanego. Przeciwnie. Patrzył na mnie tak, jakby naprawdę cieszył się z naszego ponownego spotkania.

– A makaron? – zapytał.

– Świetny.

– Czyli stolik nie był taki zły.

– Nie powiedziałam, że był zły.

– Tylko przeciętny.

– Właśnie.

Uśmiechnął się. Starszy mężczyzna znów coś powiedział. Tym razem Aleks odpowiedział krótko, a jego rozmówca pokręcił głową z rozbawieniem.

– Chyba powinnam iść – powiedziałam.

– Odprowadzę cię kawałek.

Pożegnał starszego mężczyznę i ruszyliśmy wzdłuż nabrzeża. Rozmawialiśmy o restauracjach i miejscach, które warto zobaczyć. Aleks polecił mi niewielką piekarnię niedaleko portu.

– Mają świetne focaccie – powiedział. – Ale trzeba przyjść wcześnie.

– Jak wcześnie?

– Przed dziewiątą.

Skrzywiłam się.

– Na urlopie?

– Możesz przyjść później. Tylko wtedy nic nie zostanie.

– To szantaż.

– Raczej informacja handlowa.

Roześmiałam się. Zatrzymaliśmy się przy skrzyżowaniu dwóch uliczek. Mój apartament znajdował się kilka minut dalej.

– W takim razie dziękuję za rekomendację – powiedziałam.

– Proszę bardzo.

Staliśmy naprzeciwko siebie. Aleks spojrzał w stronę portu.

– Czasami rano można tam zobaczyć ciekawych ludzi – powiedział.

– Na przykład?

– Rybaków, którzy wracają z połowu. Starszych mieszkańców, którzy przychodzą na kawę. Tych, którzy uważają, że dzień zaczyna się dopiero po drugiej filiżance espresso.

– A fotografów?

– Fotografów też.

Uśmiechnęłam się.

– Dobranoc, Aleks.

– Dobranoc, Nina.

Odwróciłam się i ruszyłam w stronę apartamentu. Nie obejrzałam się. Chociaż miałam ochotę. Po powrocie zdjęłam sandały i wyszłam na taras. Miasto powoli cichło.

Z pobliskiej restauracji dobiegały jeszcze rozmowy, ktoś zamykał okiennice, a nad dachami widać było ciemną linię morza. Nalałam sobie wody. Telefon leżał na stoliku. Na ekranie nadal widniało powiadomienie dotyczące proponowanego awansu. Nie otworzyłam wiadomości.

Zamiast tego wyszukałam w telefonie drogę do piekarni, o której opowiadał Aleks. Otwierali o siódmej. Zamknęłam mapę. Przecież nie zamierzałam wstawać tak wcześnie tylko po to, żeby kupić pieczywo. Odłożyłam telefon.

Po chwili wzięłam go ponownie. Sprawdziłam, ile czasu zajmie mi spacer z apartamentu do portu. Siedem minut. Ustawiłam budzik

na ósmą. Potem, po krótkim namyśle, przesunęłam go na siódmą trzydzieści.

I dopiero kiedy zgasiłam światło, przyznałam przed sobą, że wcale nie chodziło o focaccię.